Nr. 8. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Poznań dnia 24 Lutego 1872.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 zlr. 50 cent. w. a. — Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

O MAZURACH.

Napisał

Dr. Wojciech Kętrzyński.

(Ciąg dalszy.)

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda.

Słowa te naszego wieszcza stosują się w całém swojém znaczeniu także do Mazurów; Mazur lubi mieszkać nad wodą — a tego żywiołu jest tam dosyć; wioski jego i miasteczka składające się zwykle z jednéj często bardzo długiéj ulicy, leżą nieomal wszystkie nad jeziorami i nieraz okrążają one wieńcem niejedno jezioro. Chatki drewniane słomą pokryte — bo drzewo niezbyt drogie — nie wysokie, ale szerokie; okienka małe; w izbie piec ogromny, bo zimy bywają długie i silne, a przy ścianach i na ścianach i pod sufitem zgromadza się wszystkie statki domowe. Zamożność i dostatek są rzadkie, bo Mazur ubogi a ziemia jego to piasek niebardzo urodzajny. Gospodarność i oszczędność u niego niewielka. Budynki gospodarskie małe a inwentarz nędzny. Konie są małe, chude, długiemi włosami obrosłe, ale dosyć wytrwałe; woły i krówki małe i nędzne a owce, gdzie takowe mają, są swojskie. Na lekkich swych gruntach produkuje Mazur perki, tatarkę, len i żyto; rzadko owies i jęczmień.

W miastach zaś Mazur stanowi proletarjat rzemieślniczy, co z ciągłą biedą i niedostatkiem walczy i zarazem klasę robotników wszelkiego rodzaju i służących. —

Wiele obyczai mazurskich jeszcze ma czysty, polsko-sławiański charakter; jak wszędzie u nas, tak i tam odbywa się okrężne po ukończonych żniwach. Skoro ostatni snopek zwieziono, wieśniacy stroją siebie, kosy i grabie w kwiatki i wieńce i idą — przodownica z wieńcem wielkim dla państwa przeznaczonym na przodzie — niby procesją — przyśpiewując piosnki, do dworu. Kiedy się ku niemu zbliżają, zaczynają ową pieśń, którą od Bugu do Odry, od morza bałtyckiego do Karpat usłyszysz:

Plon niesiemy plon
Ze wszystkich stron itd.

Skoro wieniec oddano, chłopcy i dziewczęta na to już czychający, zaczynają przybyłych oblewać wodą, nie szklankami lecz garnkami i węborkami a widz rozpieszczony zręcznie zwijać się musi, żeby nie był zlany do nitki i nie nabawił się kataru dokuczliwego.

Jak w Prusach Zachodnich, tak i na Mazurach bywają te same zwyczaje przy weselach. Już długo przed ślubem drużba w niedzielnym ubiorze, przybrany w stążki czerwone, białe i niebieskie, często w szarfy, wyjeżdża konno do kmotrów i sąsiadów całéj okolicy, aby ich na wesele zaprosić. Podczas zaprosin drużba z konia nie zsiada a kiedy domek nie za niski a drzwi dosyć wysokie, to konno wjeżdża do izby, aby tam poselstwo swoje odprawić. Drużba do zgromadzonych wierszem przemawia, który zwykle się zaczyna od tych słów: „prose, prose na wesele“ i w którym on przedstawia, jakie przyjęcie zaproszonych oczekuje, jaka oblubienica ładna, a kawaler jaki hojny, że piwa i wódki podostatek a że muzycy czyli muzykanci, jak tam mówią, aż z pod Królewca. W dzień ślubny państwo młodzi z drużbami i swatami — wszyscy kwiatkami, wieńcami i wstążkami przystrojeni — bryczkami jadą do kościoła; poprzedza ich dwoje drużbów pstro wystrojonych, którzy dzikiemi wykrzykami państwu młodym drogę torują. Po ślubie następuje suta biesiada czyli gody a potem tańce, co czasem trwa kilka dni.

Co mię niemało zadziwiło, jest to, że w niektórych okolicach dotąd się zachowuje czysto polski i katolicki obrząd kolendy, choć Mazurowie już przed wiekami św. kościół katolicki porzucili i do nauki Marcina Lutra się przyłączyli. Jak w Prusach Zachodnich tak i tutaj odprawia się ten obrząd przez pastora i organistę w czasie od Nowego Roku do Wielkiéjnocy.

Kiedy minister oświecenia p. Mühler w znaném swojém rozporządzeniu z dnia 21go listopada r. 1865 względem szkół elementarnych polskich w Prusach Zachodnich i Wschodnich rozróżnia język polski i mazurski, jakoby to osobne języki, bardzo pan minister się myli, dając nam dowód nowy, jak mało nawet najwyższe

władze pruskie obeznane są z naszemi stosunkami a jak dalecy w ogóle Niemcy są od téj gruntowności wiedzy i dojrzałości sądu, z których tak radzi zawsze się chełpią. Język mazurski to nonsens — bo takiego niema; że polskim językiem Mazury mówią, najlepszym jest tego dowodem każda książka mazurska niemieckiemi literami drukowana, ba, nawet i ortografja w niéj jest czysto polska.

Wiadomo każdemu z nas, że wymowa braci Mazowszan i Mazurów nieco odmienną jest od wymowy Wielkopolan; ale ta różnica stanowi właśnie to, co mazurzeniem zwykle nazywamy i polega głównie na tém, że spółgłoski podniebienne cz, sz, ż, dż przechodzą w syczące c, s, z, dz; płynną zaś spółgłoskę rz dotąd czysto wymawiają; są jednak wyjątki, które téj ogólnéj regule się sprzeciwiają i o których warto tutaj wspomnieć. Mówią bowiem Mazury „żäbä“, „szubienicä“, a nie „zäbä“, „subienicä“, a miejscami nawet „szärnä“ zamiast „särnä.“ Inne różnice, które jeszcze zachodzą, mają swój początek ztąd, że Mazury granicą wykluczeni od wspólnéj nam ojczyzny, od wieków już żyją pod wpływem obcéj narodowości, pod wpływem obcego języka. Dziwem więc nie jest, że w takim razie język naprzejmował dużo obcych w swój skład wyrazów i że w takim przypadku i wymowa się nieco zepsuła. Tak na przykład razi najbardziéj polskie ucho „ch“ z niemiecka wymawiane; „mi“ zwykle wymawia się „mni“, n. p. mniłość; czasem jednak „m“ przechodzi w „n“ n. p. niech = miech; renie = ramię; kenień = kamień; „ł“ niekiedy zupełnie w ustach mówiących niknie, czasem je jak „u“ lub „v“ wymawiają: n. p. mniuje = miłuję; svysys = słyszysz.

Mazury zachowują dotąd w swéj mowie „a jasne“, co w ich ustach prawie brzmi jak „e“ lub „ä“ n. p. łäskä = łaska; pan, pänä, pänu, pänie, pänowie; gadäłäm, gadälim = gadaliśmy, mäły, tä, sämä, sänowäna. W pieśniach ludowych, niżéj podanych, starałem się jak najdokładniéj oznaczyć wszędzie „a jasne.“ W wielu razach „a jasne“ zupełnie przeszło na „e“, tak że dzisiaj żadnéj różnicy spostrzedz już nie można, n. p. redä = rada; jewor = jawor; jerząb = jarząb; kenień = kamień; renie = ramię itd.

„e“ zaś często ma brzmienie „é“ lub „y“, n. p. sérce, ćymno.

„ę“ wymawia się niemal regularnie jak „in“ lub „én“ a w zakończeniach zawsze jak „e.“ Czują to sami Mazury, bo kto z nich bliżéj gramatyki języka polskiego nie zna, pisze regularnie „sierotkie“ zamiast „sierotkę“, „mätkie“ zamiast „matkę.“

Nosowe „ą“ także czysto już się nie wymawia; brzmi ono czasem jak „um“ n. p. dumb = dąb; czasem jak „ó“ n. p. wziół = wziął, a skoro stoi na końcu, to brzmi zupełnie jak „o.“

„y“ bardzo często wymawia się wyraźnie jak „i“ n. p. czisty; ziłä = żyła.

ó pochylone często jeszcze znajdujesz tam, gdzie u nas tego już nie ma, n. p. zónä = żona, zwóń = dzwoń.

Należy mi się na tém miejscu wspomnieć jeszcze o ciekawém dla filologów zjawisku językowém tyczącém się liter „wi.“

Pod Węgoborkiem „wi“ czysto wymawiają; mówią bowiem tam „wino, wiosnä, wiecór, zupełnie jak my. Pod Lecem zaś, Orłowem, Margrabową, Ełkiem, Janowem i Sąsborkiem zamiast „wi“ wymawiają „ji“ n. p. jadro = wiadro; jém = wiem; jecór = wieczór; jidły = widły; jilk = wilk; josna = wiosna; ojes = owies; mo-je = mówię, a zamiast „ojcu lub raczéj ojcowi“, nieraz usłyszymy „ojcoju.“

W okolicach zaś Nidborskich mówią jak mnie zapewniono, zamiast „wi“ — „zi“ n. p. ziór = wiór; zino = wino; ziecór = wiecór, a czasem nawet wzino, wziecor itp.

Zwracam nareszcie uwagę czytelników jeszcze na niektóre osobliwości mowy mazurskiéj, o których podczas ostatniego mego w tamtych stronach pobytu miałem sposobność się dowiedzieć.

Kiedy „dz“ stoi na początku wyrazu, to w mowie potocznéj zwykle usłyszysz tylko „z“, n. p. zwóń = dzwoń; zban = dzban.

Zamiast gwóźdź mówi się góźdź, zamiast kartofle mówią tam bulwy lub gulby.

Zamiast „chwała“ mówi się „wchała“ a zamiast „chwalić“, „falić“; zamiast „figiel“ często możem słyszyć „chigiel.“ Zamiast „drzwi“ mówią „drji, drwi, dźwierze.“

Koniczyna nazywa się u nich „konikiem“ a grzyby „bedłkami“; grzyb bowiem tylko jest jeden ich gatunek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIEŚNI GMINNE
ludu mazurskiego w Prusach wschodnich.

Leciäły zorawie bez pole krzycąco,
Spotkäły dziewcyne do sluzby idąco.

„Cicho dziewce, nie płäc, nie lamentuj w sobie,
Ma Pan Bóg staränie i w słuzbie o tobie.“

Jäk ja nie mam płäkać, ludzie sie dziwujo,
Ze sławnych rodziców dziatki usługujo.

Oj ciężki zal ciężki sercowi mojemu,
Jäko kenieniowi w drodze leżącemu.

Bo kto idzie drogo, trąci kenień nogo,
Täk ci i mie trąci sierotkie ubogo.

Ach Boze, mój Boże z wysokiego niebä
Däłeś mi docekäć sierockiego chlebä.

Z sieroty sie näśmiäć, sierotkie ogädäć;
Lec wie Pan Bóg lepiéj co sierotce ma däć.

Ach ten słuzących chlebek, ten gorzko smäkuje;
Niewieleć go däjo, często wymawiäjo.

Oj dälić mi däli jäk klonowy listek,
Jesce sie pytäjo, cym go zjädłä wsystek.

Ach zjädłäm go zjädłäm w sieni, tam zä drwami,
Com raz ukąsiłä, obläłäm sie łzami.

Oj jednäć ja jednä jäk krusycka w ryku,
Oj mäjoć mie, mäjo ludzie nä języku,

Oj jednäć ja jednä jäk ptasecki w puscy;
Wierzam ci ja w Bogä, on mnie nie opuści.

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

II. Przy świetle.

To też gdy przeszli na drugą stronę ulicy — zaraz zapytał Anetki:

— Kto to był ten młodzieniec, który ci się kłaniał z omnibusu? —

Anetkę to pytanie jeszcze więcéj zarumieniło i w niemały wprowadziło kłopot; nie wiedziała bowiem, co ojcu odpowiedzieć. — Kto był ten młodzieniec? — Alboż ona sama wiedziała? — Znajomość ich była podobna sennemu marzeniu, którego wrażenie czujemy silnie we śnie, ale za przebudzeniem trudno je wtłoczyć w słowa i opowiedzieć ludziom. — Wahała się więc co powiedzieć. — To wahanie coraz gorsze podejrzenia nasuwało starcowi. Nic dziwnego, że patrzał na wszystko tak ciemno. Wszak każdéj nocy wzrok jego i myśl zapuszczały się jak górnik w podziemia występku — to też patrzał na świat ponuro, przez ciemne okulary. —

— Gdzieżeś się z nim poznała? — powtórzył ostrym nieco tonem. — Wszak nieznajomy nie mógł ci się kłaniać. —

— Dziś rano — mówiła pomieszana Anetka — wychodząc z domu spotkałam się z tym panem. Upadła mi książka — on ją podniósł — —

— I ztąd znajomość? — To doprawdy dość prędko ten pan robi znajomości.

— Znam go już dawniéj, bo mieszka naprzeciw nas — w hotelu. —

— Naprzeciw nas? — spytał starzec gwałtownie i podejrzenia jego zaczęły wyraźniejsze kształty przybierać. — W jednéj chwili ogarnął cały obszar niebezpieczeństwa, jakie z tak bliskiego sąsiedztwa wyniknąć mogło dla młodéj dziewczyny zostającéj bez nadzoru po całych dniach. — Wyrzucał sobie, iż mógł być tak nieostrożnym i najmować mieszkanie naprzeciw hotelu, że nie zwrócił uwagi na to, iż mieszkania od tyłu lubo zwykle nie zajmowane przez podróżnych, którzy się do frontowych cisnęli pokoi, mogło być jednak kiedyś zajęte, jak n. p. teraz. —

— O czémże ten pan rozmawia z tobą? — spytał daléj grajek badając córkę. —

— On nigdy ze mną nie rozmawiał — odrzekła. — W głosie jéj było tyle szczerości i prawdy, że starca odpowiedź ta uspokoiła. —

— Nigdy nie rozmawiał. — To dobrze się stało, — rozmyślał idąc. — A jednak tak dłużéj zostać nie może. Ja jéj bez opieki tak zostawić nie mogę. Tylu jest złych ludzi na świecie, a ona młoda, niedoświadczona. Trzeba ją koniecznie dać w opiekę jakiéj uczciwéj rodzinie. Ale gdzie, jak?

Była to myśl, która nieraz udręczała starca, stała się prawie manją jego. — Czy w skutek ciągłego przebywania w miejscu zapełnionem upadłemi kobiétami, czy w skutek zwykłéj u starych podejrzliwości, grajek uroił sobie, że córce jego grozi niebezpieczeństwo upadku, że źli ludzie czyhają na nią, by ją wciągnąć na drogę zepsucia i hańby. — Obawa ta z każdym dniem potęgowała się. Nabita złemi przeczuciami głowa jego pracowała nad sposobami zaradzenia złemu, zabezpieczenia córki. — I teraz myśli te obsiadły mu głowę i posępną chmurą przyćmiły chwilową wesołość. Stał się znowu milczący i kwaśny.

Córka spostrzegła tę przemianę nagłą; przypisując ją utrudzeniu spytała ojca, czy nie miałby ochoty spocząć trochę. —

— Nie, idźmy daléj. Albo lepiéj wróćmy do domu.

— Mamy jeszcze wstąpić na pocztę. —

— A tak na pocztę — powtórzył machinalnie. — Na pocztę. —

Wrócili więc i ominąwszy główną ulicę krótszemi drogami zmierzali ku poczcie. — W bramie spotkali właśnie listonosza. —

— Oto mój ojciec, o którego się pan wczoraj pytałeś — rzekła Anetka. —

— Pan nazywasz się Majer? — spytał listonosz, mierząc protekcyjnie potulną figurę muzykanta. —

— Tak, Józef Majer. —

— Mieszkałeś pan przedtém na Leopoldstadzie? —

— Tak, przed trzema tygodniami wyprowadziłem się ztamtąd.

— Z pod którego numeru?

— Pięćdziesiątego drugiego — na dole, w podwórzu. —

— Tak, to dobrze To niezawodnie do pana będzie ten list — rzekł listonosz dobywając z torby list z pięcioma pieczęciami. — List z pieniędzmi.

— Zkąd? — spytał grajek z niedowierzaniem. —

— Z Polski. —

— I z pieniędzmi? —

— Wewnątrz ma być według podania sześćdziesiąt guldenów. Chodź pan do kancellarji podpisać recepis. —

Majer poszedł za listonoszem oszołomiony niespodziewanym listem z pieniędzmi. Drżącą ręką nagryzmolił niewyraźnie swoje nazwisko na recepisie i wyszedł na ulicę ściskając silnie list w rękach. —

— Z Polski — mruczał sobie pod nosem — od kogoby mógł być?

— Czy nie mamy ojcze żadnych krewnych tam. Wszak ty i nieboszczka matka ztamtąd jesteście rodem.

— Moja rodzina pomarła dawno, a matka twoja miała tylko jednego krewnego, brata. Chybaby on. — Ale nie, onby nie pisał. —

— Czemu? —

— To długa historja. Chodźmy do domu. Ciekawy jestem tego listu. —

Przyspieszonym krokiem podążał do domu stary grajek pchany ciekawością. A nie chciał na ulicy rozpieczętować listu — zbyt ważnym był dla niego; potrzebował na to spokoju i czasu na akt tak uroczysty. Gdy weszli do izdebki starzec tak był zmęczony i wzruszony, że najprzód musiał usiąść i wypocząć.

— Podaj mi okulary — rzekł do córki. —

Podała mu je ze stolika — włożył na nos i drżącemi rękami rozpieczętował list. — Sześć banknotów po dziesięć guldenów każdy wyleciały ze środka. Córka pozbierała je, tymczasem stary grajek przebiegł list prędko wzrokiem i zatrzymał się na podpisie. —

— Od niego? — zawołał. — Od niego — to dziwna rzecz — nie do uwierzenia. —

— Od kogo ojcze?

— Od brata twéj matki, od twojego wuja.

— Dla czegoż mi dotąd o nim nie wspominałeś? — Ani ty, ani matka?

— Były powody. Myślałem, że między nim a nami wszystko zerwane na wieki. Tymczasem on pierwszy odzywa się do nas. Ciekawy jestem, co pisze. —

Przysunął się z krzesłem do okna i począł czytać. — List był w następnych słowach:

„Kochany szwagrze!

Żona twoja a siostra moja czując się bliską śmierci napisała potajemnie przed tobą list do mnie, w którym tłomacząc się z tyloletniego milczenia i ukrywania się przedemną, prosiła mnie o przebaczenie dla siebie i o opiekę nad tobą i córką twoją. Pierwsze żądanie było zbyteczném. Miłość chrześcijańska i pokrewieństwo nasze kazały mi dawno już przebaczyć ci chwilowe zapomnienie się. — Drugiego polecenia zmarłéj dopełnić nie mogłem, gdyż list wysłany zaraz wtedy do was pod wskazanym mi przez siostrę adresem, zwrócono mi z poczty z nadmienieniem, żeście wyjechali z Wiednia. — Miałem was już za straconych dla siebie. Dopiéro przed paru tygodniami jeden ze znajomych moich, któremu poleciłem odszukanie was, dowiedział się przez policję o miejscu waszego pobytu i doniósł mi o tém. — Spieszę się, aby list mój zastał was pod wskazanym adresem. Nie wiem, w jakiém jesteście teraz położeniu. Jeżeli biedni — ja sam, jakkolwiek nie bogaty, podzielę się z wami tém, co mam. Znajdziecie pod moim dachem schronienie i kochające was serce. Jeżeli więc nie macie tam w Wiedniu świetnych widoków dla siebie, to przyjeżdżajcie do mnie. Będziemy wspólnie pracować i pomagać sobie. Na koszta podróży przysyłam wam, co mogłem zaoszczędzić ze skromnych dochodów plebana. Dajcie mi znać, kiedy mam was się spodziewać i wysłać konie na stację kolei."

Wasz kochający i życzliwy
ks. Jan Olęka,
proboszcz.

U spodu listu był przypisek:
Adres mój: Wybrzeże — w Galicji.

Po przeczytaniu listu Majer zamyślił się. Ręka z listem upadła mu na kolana a oczy utonęły w głębokiéj zadumie patrząc gdzieś przed siebie.

— Dziwny człowiek — odezwał się po chwili. — Dziwny człowiek. — Jeżeli to nie jest łapka na schwytanie mnie, to ten człowiek jest anielskiéj dobroci. Prędzéj spodziewałem się śmierci, niż takiego listu od niego. Ofiaruje nam schronienie. Tobie Anetko inna rzecz; ale mnie, mnie — po tém, co zaszło między nami. To mi się w głowie pomieścić nie może. —

— Cóż takiego zaszło między wami? — spytała Anetka nie rozumiejąc całkiem słów ojca. —

— Siądź tu i słuchaj mnie moje dziecko. A potem powiesz, co sądzisz o tym człowieku, bo ja nie umiem zdać sobie sprawy. — Słuchaj:

Jest temu lat ośmnaście, kiedy pułk nasz stał kwaterą w Galicji w Niwie. — Tam poznałem się z matką twoją. Mieszkała przy bracie swoim, który wtedy był wikarym w tamtejszéj parafji. — Znajomość nasza tak daleko się posunęła, że nie pozostawało mi nic, jak wystąpić z wojska, gdzie wysłużyłem przy muzyce czas służby i ożenić się. Zrobiłem to tém chętniéj, że miałem nadzieję, iż ksiądz pomoże nam do kupienia kawałka gruntu i zagospodarowania się. — Omyliłem się. Ksiądz ani myślał o tém. Siedzieliśmy po ślubie parę miesięcy u niego, wyczekując zapomogi, ale się doczekać nie mogliśmy. — A gdym się potém wprost o to upomniał usprawiedliwiał się, że sam nic nie ma, że źle zrobiłem, jeżeli żeniłem się z jego siostrą z myślą, że on da mi jaki posag a w końcu radził mi, bym na serjo jął się pracy, gdyż tak siedzieć na łasce młodemu człowiekowi nie wypada. Oburzyło mnie sknerstwo popa. — Zdecydowałem się na wyjazd licząc na to, że choć przy rozstaniu da nam jaki taki fundusik. I w tém się przerachowałem. Oprócz błogosławieństwa i trochę gratów nic więcéj nie dostaliśmy. Rozstaliśmy się zimno i kwaśno. — To jest właściwie ja byłem taki, bo on do końca był słodki, dobry, nawet czuły. Ta dobroć do wściekłości mnie doprowadzała. — Wyjechaliśmy. — Ale na pierwszym popasie przyszła mi myśl rozpaczna wydobyć gwałtem od księdza, czego dobrocią dać nie chciał. — Bo wierzyłem w to mocno, że ksiądz ma pieniądze, tylko tai się z niemi. — Nie opowiadając się więc żonie, wysunąłem się niepostrzeżenie z karczmy i zaopatrzywszy się w kij i postronek wróciłem do Niwy. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JEDYNA SKARGA.

O jakże smutno, jakże boleśnie,
Mieć w sercu swojém zaklęte pieśnie,
I bardon nosić śpiewaczy...
A iść samotny ciernistą drogą!
Dla serca swego nie mieć nikogo,
Piosnce — nie znaleść słuchaczy!

Straszny to ciężar (mówią ludziska)
Gdy się już z oczu łza nieprzeciska,
Choć w piersiach krwawe twkią noże...
I jest straszniejsza boleść daleko,
Niż przytłumiona łza pod powieką:
Pieśń, co się wyrwać nie może!

Ale ja inną znam jeszcze karę,
Co niesie z sobą rozpacz, niewiarę,
I dręczy straszniéj, boleśniéj...
I niegościnną wygania ręką,
Z pod wrót złoconych ślepca z lirenką:
To obojętność dla pieśni!

Świat zobojętniał... Śpiewać! dla kogo?
Pójdź w me objęcia lutni niebogo,
Siostra niech uścisk da bratu!
A gdy skonają śpiewy łabędzie,
Może za pieśnią świat tęsknić będzie,
Lecz czy Bóg wróci ją światu?!...

Władysław Bełza.

NIEMCY W ROSJI*).

Niema z pewnością rzadszego przymiotu w świecie jak bezstronność sądu i dobra wiara w obec przeciwników. Miłosierdzie chrześcijańskie nawet, znajdujące nierównie więcéj wyznawców w teorji aniżeli praktyce, łatwiéj się napotyka, aniżeli ten rodzaj sprawiedliwości i częściéj widzieć można ludzi oddających dobro za złe w sprawach materjalnych, aniżeli zapatrujących się bezstronnie na naukę lub stronnictwo przeciwne. Pochodzi to ztąd, że wspaniałomyślność silniéj nas ku sobie pociąga aniżeli sprawiedliwość. Czyniąc dobrze nieprzyjacielowi, czynimy zadość miłości własnéj i potrzebom serca, podczas gdy bezstronność jest tylko ciężkim obowiązkiem nie przynoszącym ani sławy ani zasługi, obowiązkiem, którego unikamy i który rzadko kiedy sumiennie pełnimy. Nietolerancja ta ma inną jeszcze przyczynę, powiedzmy szczerze — nietolerancja płynie z wiary w bezwzględną prawdę, która zapuściwszy w serce ludzkie głęboko sięgające korzenie objawia się nieustannie pod rozmaitemi formami i pod różnym pozorem. Dziwnym zrządzeniem losu ma ona najliczniejszych zwolenników pomiędzy temi właśnie, którzy przypisują sobie cywilizatorskie powołanie.

Stojąc pod fałszywym godłem głoszą oni iż zwalczyli bezwzględność, podczas gdy ją ochrzcili innym tylko mianem. Dla jednych bezwzględną prawdą jest kościół, do którego należą, dla drugich nicość, atom; dla jednych monarchja z łaski bożéj, dla drugich rzeczpospolita lub gminowładztwo — dla wszystkich jednak prawdą jest tylko doktryna w którą niezachwianie wierzą, w imie któréj nie wahają się czernić przeciwników lub ujarzmiać ich siłą. Oskarżają powszechnie jezuitów o trzymanie się zasady, iż cel uświęca środki, po zastanowieniu łatwo się możemy przekonać, iż ci groźni rycerze katolicyzmu nie są jedynymi jéj wykonawcami i że uciekają się do niéj chętnie wszystkie stronnictwa pod warunkiem — rozumie się — żeby przeciwnicy tego samego nie chwytali się środka, w tym bowiem razie staje się on niesłychaną zbrodnią. Czyż nie słyszymy codziennie jak naczelnicy stronnictw wołają pomsty za krew wylaną? Doszedłszy jutro do władzy tracą czułość serca i praktykują na przeciwnikach to samo, co ich wczoraj jeszcze tak gwałtownie oburzało. Cóż znaczy taka procedura jeżeli nie to, iż cel uświęca środki, i że wszystko jest godziwe, byle tylko zapewnić zwycięztwo stronnictwu, do którego się należy, lub doktrynie którą się wyznaje! Sąd oparty na osobistych widokach dowodzi właśnie, że bezstronność i poczucie słuszności mało jeszcze ma wyznawców.

Z pomiędzy najzawikłańszych kwestji politycznych, rzadko która przedstawiała się oczom Europy w tak niejasny sposób, jak stosunek prowincji Nadbaltyckich do Rosji. Korzystając z wyższości cywilizacji niemieckiéj nad rosyjską, nieomieszkali nasi szanowni współobywatele germańskiego pochodzenia pozyskać dla siebie opinję prasy europejskiéj i rozszerzają za jéj pomocą potworne i z wszelkiéj podstawy ogołocone oszczerstwa. Propaganda ta pada na wybornie urobiony grunt, podług bowiem tradycyjnych uprzedzeń Europy, Rosja jest zawsze owym kolosem północy czyhającym jak ów bajeczny potwór z rozwartą paszczęką na połknięcie świata, połykający, w oczekiwaniu na tę sutą biesiadę, drobne sąsiedzkie narodowości. W obec takich pojęć, trudno odmówić wiary garsteczce przedstawicieli teutońskiego plemienia, utrzymującéj domniemaną walkę w obronie wolności, którą im wydziera barbarzyński despota. Jakżeż tu można nawet wątpić, że w téj nierównéj walce cywilizacji z barbarzyństwem, oświaty niemieckiéj z na pół dziką Rosją słuszność nie leży po stronie pierwszéj? Niemcy, ów naturalnie pierwszy naród świata, mają prawo za sobą choćby nawet sami tego nie mówili — czyż można przeczyć? Rosjanie mało bardzo pisują dla zagranicy, to zaś co się pisze w kraju przechodzi niepostrzeżenie. Argumenta niemieckie wyręczają się często oszczerstwem, wymagania ich zaś są tak rozlicznéj natury, że trudno rozróżnić w nich to co słuszne od tego, co niema zdrowego sensu. W obec téj zaciętéj polemiki stron obu, starać się będziemy roztrząsnąć i wyjaśnić co najgłówniejsze punkta sporne. Mamy nadzieję wykazać, że Rosja w tym względzie nie zawsze postępuje bezprawnie i że występując przeciw swoim niemieckim współobywatelom, niema zamiaru przytłumiania wolności i postępu.

I.

Dla dokładniejszego zapoznania się z położeniem Niemców w księstwach nadbaltyckich zwrócimy szybki rzut oka na ich historję i przeszłość, którą postaramy się opowiedzieć w kilku tylko słowach.

Księstwa nad Baltykiem leżące, znane dawniéj pod imieniem Inflant, Estonji i Kurlandji, zamieszkałe przez ludy plemienia fińskiego i letyckiego, zostawały od XI wieku pod panowaniem Nowogrodu, Pskowa i Połocka. Bałwochwalstwo utrzymało się tam aż do końca XII wieku a pierwszym apostołem chrześcijanizmu w tych stronach był mnich Augustyn zwany Minhardem, misję tę po nim objęli Krzyżacy pod wodzą hr. Buchhovden. Ten ostatni, zostawszy biskupem Inflantskim założył miasto Rygę, połączył się z zakonem teutońskim i zawojował całe Inflanty. Następcy jego prowadzili nieustanną wojnę z sąsiedniemi księstwami i starali się opanować Psków, aż nareszcie wewnętrzne niezgody między władzą kościelną a cywilną w końcu XIII wieku położyły koniec krwawym bojom i zaborczym zachciankom. Miasta zachęcone przykładem ligi hanzeatyckiéj zbuntowały się przeciw powadze arcybiskupa Rygskiego i chciały wywalczyć sobie autonomję administracyjną, posiadacze zaś ziemscy, wasale arcybiskupa, utworzyli liczną klasę szlachty feodalnéj. Mistrz zakonu teutońskiego, ze swéj strony, spierał się o władzę zwierzchnią z arcybiskupem a walka ich, przeciągnąwszy się aż do połowy XVI wieku, skończyła się upadkiem zakonu kawalerów mieczowych. Skutkiem téj walki było rozpadnięcie się Inflant na małe udziały, z których jedne należały do duchowieństwa, drugie do kawalerów mieczowych a trzecie nakoniec do miast i szlachty feodalnéj.

Car Iwan Groźny utrzymując, że Inflanty należały niegdyś do jego przodków postanowił je podbić. Przedsięwziętą w tym celu wojnę rozpoczął w 1558 r., odniósł wiele zwycięztw i przyprowadził zakon teutoński do zupełnego upadku, bez stanowczéj jednak dla siebie korzyści, Inflanty bowiem dostały się Litwie, Kurlandja poddała się w lennictwo Polsce, Estonja Szwecji a wyspa Esel Danji — Iwan zatrzymał zaledwie kawał ziemi leżącéj na wschód.

Podział ten stał się powodem do długich a krwawych wojen między Polską, Rosją, Szwecją i Danją, która ukończyła się dopiéro za czasów Piotra Wgo. Ten ostatni podbił wszystkie księstwa w 1705 r., Kur-

*) Zeszyt za luty b. r. czasopisma włoskiego „La Rivista Europea", wychodzącego we Florencji pod redakcją prof. Angelo de Gubernatis umieścił na pierwszém miejscu powyższy artykuł pióra p. Tatiany Swetow, który dla jego ciekawości podajemy naszym czytelnikom w wiernym przekładzie, zastrzegając się przeciw niektórym ustępom.

Redakcja.

landja tylko zachowała niezawisłość aż do 1795 roku, w którym to czasie carowa Katarzyna przyłączyła ją do swego państwa.

II.

Przyłączając Inflanty i Estonją do Rosji, Piotr W. potwierdził przywileje szlachty i miast — prawa feodalne jednych, zaś instytucje magistratualne, gildje i cechy drugich. Na tym to układzie zawartym w początku XVIII wieku opiérają Niemcy dzisiejsze swoje zarzuty i wymagania.

Powyżéj nakreślony krótki rys historyczny daliśmy w celu udowodnienia, że ludność księstw nadbaltyckich nie jest jednolitą, że znamienita jéj większość składa się z ludu pochodzenia estońskiego i letyckiego, ujarzmionego przez Niemców, których dzisiejsi potomkowie wszystkie prawa dla siebie tylko wyzyskiwać pragną. Siedm wieków nie wystarczyło do zlania się tych dwóch ras, dotąd bowiem tak Estoni jak Łotysze zachowali swoją narodowość, język i obyczaje różne zupełnie od niemieckich, tak dziś jak w pierwszym dniu wtargnięcia się cywilizatorów na rodzinną ich ziemię. Dawniéj, nawet w XVIII wieku, niższe warstwy ludności nie miały znaczenia i głosu, niewolnictwo bowiem panowało wszędzie — układano się zatém z temi, co mieli siłę i władzę z pominięciem innych. Dziś jednak, gdy stare przekonania polityczne ustąpiły miejsca nowemu porządkowi rzeczy, gdy jedno prawo służy wszystkim obywatelom a idea narodowości, nieznana dawniéj, zwycięża — dziś wykonanie umowy zawartéj w innych czasach i innych warunkach napotykać musi trudności, krępuje bowiem publiczne sumienie.

Czyż słowo zwierzchnika dane w tak odległéj epoce może wiązać jego następców? Któren zresztą z dwóch obowiązków jest ważniejszy -- obowiązek rozciągnięcia jednakowéj opieki nad wszystkiemi poddanemi porównie, czy téż dosłowne wykonanie ugody podpisanéj przez przodka, czyniącéj krzyczącą krzywdę jednym dla dogodzenia drugim?

Tak postawiona kwestja wystarcza już sama przez się za dowód, jak trudném jest położenie; dowód ten jednak będzie jeszcze silniejszy, jak skoro wykażemy przywileje i ustawy stanowiące obecnie jabłko niezgody między rządem a prowincjami nad Baltykiem.

(Dokończenie nastąpi.)



OŚCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

Pan Wojciech nie żałował w téj chwili pieniędzy. Ten uścisk ręki, ten szacunek jakim błysnęło spojrzenie Rolskiego, podniosły go we własném przekonaniu. Czuł się wyższym, dumny był, kontent ze siebie... Szlachetną tę radość zamąciła zaledwie drobna skaza próżności: „I hrabia August nieznalazłby się lepiéj", myślał sobie szlachcic.

W téj chwili Rolski wpisawszy cyfrę wręczył mu kwit.

Tym razem pan Wojciech zbliżył go do lampy i ciekawie mu się przypatrywać zaczął. Kwit był na cienkim niebieskim papierze, drukowany z Nr. i pieczęcią.

— I to w Warszawie drukowane?...

— W Warszawie.

— Niech was kaci utną! Toż się tam Moskaliska wściekać muszą!... — i śmiać się radośnie a szczerze zaczął poważny i rachunkowy pan Wojciech.

Bo szlachta nasza przepada za drobnostkami, a zręczny figiel spłatany wrogom cieszy ją tyle, co czyn bohaterski. Lęka się i cofa przed faktem stanowczym, ale przyklaskuje serdecznie całemu szeregowi faktów, które faktu tego są przygotowaniem...

W téj chwili przyszła panu Wojciechowi jakaś myśl do głowy.

— Ale zmiłuj się pan Dobrodziéj, tylko o tém... sza!...

— Sądzę, że to niepotrzebne zastrzeżenie.

— Tak co do Moskali, wiem o tém, ale mnie idzie o to, żeby nikt w powiecie nie wiedział, że zapłaciłem podatek. Nikt a nikt... rozumie pan?

— Z wyjątkiem naczelnika powiatu.

— A broń Boże! ani on, ani nikt. Bo widzi pan... — ciągnął nieco zaambarasowany szlachcic, — nam dyrekcja nasza podatków panom płacić zabroniła.

— Ah! tak?... — rzekł nieco z przekąsem Rolski, ale natychmiast poprawił się i dodał:

— Bądź pan spokojny.

W téj chwili wniesiono herbatę, a na ciemném tle otwierających się drzwi dostrzedz było można twarz pani Wojciechowéj ciekawie i niespokojnie zaglądającą, by zobaczyć sławnego konspiratora, o którym jéj syn powiedział.

— Przy herbacie pan Wojciech ochłonął nieco. Zaczął już nawet żałować trochę swéj hojności, i uczuwać wyrzuty sumienia, że złamał rozkaz dyrekcji, prócz tego imaginacja jego roić zaczęła wszystkie możliwe kroku tego następstwa. To téż gdy Rolski poprosił o konie, pan Wojciech zatrzymywał go tylko dla ceremonji prosząc Boga, żeby się przybyły nie namyślił zostać. Ale znów z drugiéj strony kazał najlepsze zaprządz konie do najwygodniejszego wolantu i niby bardzo serdecznie pożegnał nieproszonego gościa.

Potém odbyła się długa i szeroka konferencja między mężem a żoną. Pan Wojciech całą wizytę opowiedział dość dokładnie, ale zamilczał o daniu składki, i przybycie Rolskiego złożył na przypadkowy przyjazd, a może, jak dodawał, na chęć poznania go. Następnie przywołano znów Felunia i układano daléj plany przyszłéj kampanji matrymonjalnéj.

Dłużéj téż jak zwykle świeciło się w kancelarji pana Wojciecha, a i potem jeszcze nie prędko usnął nasz szlacncic wbrew zwyczajowi swemu, bo sumienie jego nie mogło się zdecydować na wydanie stanowczego sądu: dobrze-li zrobił, czy źle?

III.

Na drugi dzień, w piękny wrześniowy ranek, około godziny 11téj przed południem, obaj panowie Adamscy, rozparci w eleganckim koczu, zaprzężonym czterema doskonałemi gniadoszami, dojeżdżali do Staréj wsi, któréj duży choć drewniany dwór i murowane przy nim oficyny, wyglądały z wieńca lip i klonów starych.

Uprzedźmy ich na chwilę by się tymczasem zapoznać z mieszkańcami tego dworu, z ich przeszłością i stosunkami.

Stara wieś, jeden z najlepszych majątków, w tym, dość smutnym kącie Płockiego, który w jeografji nazywa się powiatem mławskim, przed trzydziestu przeszło laty nabytą została przez p. Andrzeja Pęczkowskiego, potomka staréj szlacheckiéj ale zubożałéj rodziny, gęsto po Mazowszu rozrodzonéj. Człowiek to był uczciwy, pracą i sukcesjami doszedł do fortuny, piastował różne obywatelskie urzęda, i jakoś w téj pracy czas mu zeszedł, i włos szronem się okrył. Kupiwszy dopiéro i zagospodarowawszy Starą wieś, zaczął się nudzić w obszernym dworze, a obowiązki sędziego pokoju nie zajmowały mu całego czasu.

A właśnie gdy ta choroba nudów i potrzeba towarzyszki dręczyła pięćdziesięcioletnie serce p. sędziego, wezwany on został na sąd polubowny w drugi koniec powiatu. Sprawa toczyła się między dziedzicem a wdową po niedawno zmarłym dzierżawcy małego folwarku, matką dwóch córek. Sprawa była jasna i dziedzic miał słuszność, sąd polubowny przyznał mu, za zaległą dzierżawę, wszystkie ruchomości i inwentarze wdowy. Ale pan Andrzéj, po wydanym wyroku, wziął dziedzica do drugiego pokoju, zaległość zapłacił, folwarczek wziął na dalsze trzy lata w dzierżawę na własne imię, i zaraz w parę dni kontrakt ten na imię wdowy przepisał, a inwentarze jéj zostawił.

Biedną kobiétę zdziwiło i zachwyciło to dobrodziejstwo niespodziewane, ale dziedzic i sędziowie polubowni uśmiechali się pod wąsem, domyślając się przyczyny. Starsza córeczka wdowy była istnym modelem dla malarza, i stary p. Andrzéj, koneser takich rzeczy, od razu ocenił tę ukrytą piękność i rozgorzał do niéj całym zapałem starca.

Dla biednéj dziewczyny, partja taka była, jakto mówią, losem, a to tém bardziéj, że Pęczkowski mimo pięciu krzyżyków młodego byłby przeskoczył, i od wielu młodszych miał więcéj rozumu, wykształcenia i otarcia w świecie.

Nic więc dziwnego, że zanim pół roku od owego sądu upłynęło, okolica dowiedziała się, że piękna Zosia Gadomska została panią sędziną.

Pożycie sędziostwa było, jak się zdaje, szczęśliwe. Pan Andrzéj szalał za swoją młodziutką żoną, pieścił ją, uwielbiał, stroił, otaczał zbytkiem i komfortem. Ten wyrachowany, a nawet oszczędny starzec rzucał garściami pieniądze, gdzie o zachcenia jego bóstwa chodziło. Czy bóstwo równie gorącém uczuciem odpłacało? o tém wątpić można — to jednak pewna, że była żoną wzorową i niezdawała się pragnąć niczego innego. Zresztą, młoda sędzina, choć brunetka, choć oczy jéj zdawały się iskry rzucać i być oknami całego piekła namiętności, była jednak jedną z istot prawie limfatycznego usposobienia, ktore nie znają uczuć gwałtownych, i dla których ciche, zwykłe szczęście wystarcza. W dodatku, w drugim już roku pożycia Bóg dał jéj pociechę, obdarzając córeczką. Sędzia warjował z radości i więcéj jeszcze zaczął ubóstwiać żonę, sędzina cały zasób niewyczerpanego dotąd uczucia zlała na to dziecko.

Życie ich było więc ciche, spokojne, szczęśliwe, a choć paru lwów powiatowych ostrzyło ząbki na młodą żonę starego męża, najzłośliwsze przecież języki nic pani Pęczkowskiéj zarzucić nie mogły.

Bystry jednak spostrzegacz byłby już wtedy zauważał — że nierozważny starzec psuje żonę. Zofja otoczona nieustanną adoracją męża i matki i siostry i wszystkich, zaczęła wierzyć w swoją doskonałość, zapominać gdzie się urodziła, przywykać do zbytku, i zbytek ten uważać za warunek życia, rozpieszczać się i przybierać fałszywe tony wielkiéj pani. Gdy mąż niczém się zajmować swemu bóstwu nie pozwalał, i pyłek z przed jéj stóp zdmuchiwał, a dość zaniedbane wykształcenie i usposobienie z natury poziome nie pozwoliły jéj się wziąść do jakiéjś poważniejszéj pracy, rozwijało się w niéj z jednéj strony próżniactwo, chorobliwe marzenia i uwielbienie dla własnéj osoby, z drugiéj dziwna nieporadność, i taki rozstrój woli, że najmniejsza przeciwność znajdowała ją bezbronną. — Wszystko to nie raziło nikogo, dopóki energiczny starzec, odmłodniony szczęściem kierował wszystkiém. Zofja mogła tonąć i tonęła też w słodkiém farniente, coraz więcéj wierząc w swoją doskonałość, coraz bardziéj tracąc energję i siły ducha. Ale po 8 latach pożycia, pana Andrzeja konie poniosły, i tak ciężko pokaleczyły, że zaledwie pożegnawszy czule żonę i pobłogosławiwszy sierotę ukochaną, zamknął powieki na zawsze.

Sędzia umierając zostawił majątek czysty i dobrze zagospodarowany, z dochodem najmniéj 30,000 zł. rocznie. Ponieważ Zofja żadnego posagu nie wniosła, a umierający testamentu nie zrobił, majątek ten stawał się własnością sześcioletniéj córeczki. Wdowa jednak nie pozostawała bez środków utrzymania. Wedle kodeksu Napoleona w Królestwie obowiązującego miała ona prawo do wszystkich dochodów córki aż do czasu jéj pełnoletności, lub zamążpójścia, z obowiązkiem jedynie wychowywania jéj stosownie do stanu, a potem nawet prawo zapewniało jéj dochód dożywotni z połowy majątku.

Młoda wdowa więc liczyć mogła przez lat kilkanaście na kilkadziesiąt, a przez resztę życia na kilkanaście tysięcy dochodu. Jeżeli dodamy do tego lat 28 i niepospolitą urodę w pełnym rozkwicie, łatwo pojmiemy ile to projektów i rachub wywołała niespodziewana śmierć p. Andrzeja.

Projekta te i rachuby jednak nie miały wielkich widoków powodzenia. Opłakawszy jak wypadało śmierć męża, utuliwszy dziecinę, którą namiętnie kochała, załatwiwszy przy pomocy sąsiadów interesa i majątek puściwszy w dzierżawę, pani Zofja wraz z córką i matką postanowiła się przenieść do Warszawy dla edukacji jedynaczki, i żeby się oddalić, jak mówiła, od miejsc zbyt wiele jéj przypominających.

Główna jednak, choć ukryta przyczyna tego postanowienia była inna. W owych próżniaczych godzinach, na które ją troskliwość męża skazywała, zaczęła pani Zofja wyobrażać sobie, że jest cierpiącą, że nosi w sobie zaród jakiéjś niebezpiecznéj choroby. Dopytywania męża i matki drżących o zdrowie bóstwa swego, manję tę rozwinęły jeszcze. Co ją bolało? jaka to miała być choroba, tego sama pacjentka powiedziećby nie umiała; była bowiem zupełnie zdrowa, i wyglądała prześlicznie. Choroba istniała tylko w rozpróżniaczonéj wyobraźni a egoizm i przywiązanie do życia robiły z niéj prawie rzeczywistą chorobę, bo rodzaj manji chorobliwéj.

Zostawszy więc panią swéj woli, pani Zofja, która w gruncie, przez dziwną sprzeczność wstydziła się swéj fikcji, postanowiła przenieść się do Warszawy, by tam być bliżéj znakomitych lekarzy, i serjo do kuracji przystąpić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd literatury zagranicznéj.

Kwestja socjalna.

Dział poświęcony przeglądowi ważniejszych utworów literatury zagranicznéj, który odtąd w piśmie naszém naprzemian z przeglądem ojczystego piśmiennictwa stale prowadzonym będzie, zaczynamy od rozbioru dwóch dzieł traktujących kwestję socjalną, która od lat stu zbliżając się coraz to szybszym krokiem do kulminacyjnego punktu swego rozwoju, grozi zachodowi Europy wielkim przewrotem istniejącego porządku a u nas tak rozmaicie a często mylnie pojmowaną bywa. Społeczeństwo jest organizmem, którego byt i trwałość zależy od harmonji, panującéj między częściami składowemi i ich wzajemnym stosunkiem. Dla utworzenia harmonji potrzebne są różnice i tak jak w muzyce różne skale tonów, tak w organizmie społecznym różnice warunków bytu jednostek tworzą zdrową, zdolną do dalszego spokojnego rozwoju harmonijną całość. Różnice te jednak nie mogą i nie powinny przekraczać zakreślonéj naturą rzeczy miary, inaczéj bowiem zburzona harmonja przeradza się w chaos, w przededniu którego stoi zachód Europy. Są ludzie dość zaślepieni lub naiwni, którzy kwestję socjalną wyobrażają sobie w postaci abstrakcyjnéj teorji, wziętéj w spadku po ś. p. apostołach komunizmu, a żywe postacie Karola Marxa, Bebla i innych przywódców ruchu biorą za błąkające się cienie Morusa lub Campanelli. Errare humanum est. Kwestja socjalna nie jest spiskiem zapalonych umysłów ani téż tajném knowaniem lecz jedną z organicznych chorób, którym społeczeństwo w rozmaitych epokach historycznego rozwoju podlega. Manifesta Internationalu, zmowy robotników i t. p. to tylko drobna wysypka na ciele społecznêm, sam rak leży nadto wyraźnie, zbyt blisko abyśmy go widzieć chcieli, my, których oczy zepsuły się na szukaniu optycznych złudzeń w dalekiéj przestrzeni. Wielkie burze powstają zwykle z najprostszych przyczyn — kwestja socjalna powstała na zachodzie ze zbyt nierównego podziału zasobów ekonomicznych, który szczególniéj w Anglji, przeszedł wszelką miarę i z zakłócenia niezbędnéj harmonji między pracą a kapitałem.

Nie tu jest miejsce do wykazania jaką drogą i na mocy jakich praw ekonomicznych ukształtował się podobny stan bieżący, nie nasze bowiem lecz teorje obcych wyłożyć mamy.

„La question ouvrière au XIX sciècle“ par Leroy-Beaulieu. Paris chez Charpentier 1872.

„La question ouvrière au dix-neuvième sciècle“ przez p. P. Leroy-Beaulieu przedstawia kwestję socjalną w ściślejszém znaczeniu, nie tyle ze stanowiska nauki i ekonomicznych zasad, ile praktycznie i z filozoficzno-moralnego punktu widzenia. Piękne to stanowisko do napisania ulotnéj broszurki lecz nie wystarczające bynajmniéj do systematycznéj analizy przedmiotu równie ważnego jak groźnego, którego dziś pobieżnie i ogólnikowo traktować się nie godzi, jeżeli się nie chce narazić na zarzut lekkomyślności. Zdaniem autora całe nasze społeczeństwo; jest chore z przyczyny zbliżającego się przesilenia pochodzą więcéj z moralnego aniżeli z materjalnego jego stanu. Jest w tém wiele słuszności ale zaledwie pół prawdy. Godzimy się chętnie z autorem na jego nader trafną charakterystykę społecznego życia w naszych czasach, przyznajemy, że obraz duchowego rozprzężenia, lenistwa, niesłychanego zobojętnienia na wszystko prócz osobistych wygód i przyjemności, nieumiejętnego i z pojęciami rozumnéj cywilizacji niezgodnego używania nagromadzonych bogactw, jest prawdziwy i bynajmniéj nie grzeszy przesadą. Godzimy się również i na to, że pogarda u góry a zawiść u dołu jątrzą coraz silniéj i tak już zaognioną ranę — lecz dodać musimy, że usunięcie samych tylko przyczyn moralnych nie przyczyni się ani na włos do usunięcia przyczyn materjalnych. Wszyscy zarówno posiadać nie mogą, to rzecz jasna do zrozumienia, lecz żeby nieposiadający nic i pracujący nie mącił publicznego bezpieczeństwa i nie był żywą groźbą dla tych co posiadają i używają, potrzeba wyzwolić go z jarzma nieporównanéj nędzy i w zamian za jego pracę tworzącą i pomnażającą nasze kapitały, zapewnić możność codziennego bytu dla niego i tego co każdemu człowiekowi święte jest i drogie — dla jego rodziny.

Robotnik mający jutro nie pomyśli nawet o wielkim przedziale między sobą a klasą posiadającą, a wszelka zawiść obcą mu będzie. Żeby jednak stan ten osiągnąć, trzeba walkę pracy z kapitałem przenieść na pole pokojowych układów i postawić stałe a sprawiedliwe normy wzajemnego stosunku, inaczéj kryzys uczciwie rozwiązaną nie zostanie a prawdopodobnie smutnemu jéj obrotowi nie zaradzą żadne represyjne środki. „Nie ich, lecz nasza chciwość i upór wikła coraz bardziéj sprawę“; mówiąc to na końcu swéj pracy, nie stawia autor nic nowego i nic coby zachmurzony widnokrąg rozjaśnić mogło. —

Dzieło p. Leroy-Beaulieu, którego ogólną tylko podajemy charakterystykę, posiada wiele trafnych poglądów i świetnych porównań między stanem kwestji socjalnéj w Anglji i Francji. Rozdział traktujący stosunek między chlebodawcami a wyrobnikami, ustęp o wynadgradzaniu pracy i systemie dawania robotnikom udziału w zyskach należą do najświetniejszych prac w tym kierunku — radzimy czytać to dzieło, na utworzenie którego połączyły się jasna myśl i bezstronne poglądy autora. —

Arbeit und Kapital — **ein Beitrag zum Verständnisse der Arbeiterfrage“** von Dr. F. Bitzer. Stuttgart bei I. B. Metzler. 1871.

Drugie dzieło dotyczące tegoż samego przedmiotu, o którém mówić będziemy, jest: „Arbeit und Kapital“ przez Dr. F. Bitzer.

Do licznych dzieł i broszur, zapatrujących się na kwestję socjalną ze stanowiska naukowo-ekonomicznego, któremi literatura niemiecka w ostatnich latach została wzbogaconą, przybyła książka człowieka, który zarówno na polu piśmiennictwa, jak téż w charakterze swoim jako wyższy urzędnik administracyjny w Wirtembergji, dał liczne dowody wyższości umysłowéj i prawości charakteru. Dzieło Dr. Bitzera, liczące 310 str. druku, pisane było widocznie nie tyle dla ludzi fachowych, ile dla szerszego koła czytelników chcących się bliżéj zapoznać z historją i bieżącym stanem kwestji socjalnéj. Autor wdaje się nawet nie tyle w specjalne roztrząsania własnych zapatrywań, ile stara się dać dokładny obraz teorji stawianych przez rozmaitych autorów w dziełach dotyczących tego przedmiotu. — Pierwsza ta, historyczna część, obejmująca znacznie większą połowę dzieła porusza się wyłącznie w ramach tego porządku rzeczy, który wydzielił z siebie i wypiastował ruch robotników dążących do takiéj socjalnéj reformy, któraby stosunek ich pracy do obsługiwanego przez nią kapitału stanowczo a godziwie uregulować była w stanie.

Iść krok w krok za autorem, streszczać go lub prowadzić z nim polemikę, byłoby to pisać obszerny traktat niestosowny i za obszerny do przeglądu; powiemy więc tylko, że podawszy przyczyny poruszenia robotników, które w 1710 r. miały pierwszy raz miejsce w Anglji a kilkanaście lat późniéj na kontynencie, przechodzi

do planów i prób wprowadzenia socjalnéj reformy, począwszy od systemu kooperatywnego w Anglji (pjonierowi Rochdalscy), stowarzyszeń zarobkowych we Francji i ustaw przemysłowych w Niemczech — aż do Strikes i stowarzyszenia międzynarodowego robotników, w rękach którego znajdują się teraz wszystkie nici zbiorowego ruchu. — Część ta pracy autora jest niejako osobną a dla niefachowych czytelników wielce pouczającą całością, dającą dokładny i na najlepszych źródłach oparty rys rozwoju ruchu socjalnego od połowy XVIII wieku aż do obecnéj chwili. Druga część (od str. 193 do końca) zajmuje się rozwiązaniem kwestji socjalnéj w myśl autora.

Dr. Bitzer staje teraz na prawno-filozoficznym stanowisku i rozwija swoje zasadnicze poglądy, które, śmiało wyznać możemy, téj części pracy mniejszą nierównie od poprzedniéj nadają wartość. Któż nie zna niemieckiéj teoretyczno-naukowéj metody? Głębokie zaciekania się nurtującego na wsze strony umysłu, stosowanie abstrakcyjnych i na pogmatwanych systemach opartych zasad, do konkretnie danych i z groźnéj prozy trudnego życia wyrosłych zadań społecznych wikła je i zaciemnia, zamiast wyjaśnić a tym mniéj rozwiązać. Tą drogą poszedł częściowo i nasz autor. Rozpisawszy się jednak szeroko i z ogólno-filozoficznego punktu widzenia o sprzecznościach zachodzących pomiędzy pracą a kapitałem, wyczerpnąwszy bogaty arsenał ciężkiéj uczoności na wykazanie konieczności wyrównania różnic zachodzących między czynnikami produkcji, przechodzi w końcu na grunt rzeczywisty i tu otwierają mu się oczy.

Dotąd utrzymywał, iż podstawy nowoczesnego gospodarstwa społecznego i określające je ustawy odpowiadają idealnym wymaganiom rozumnéj organizacji społecznego porządku. Teraz dotknąwszy się społecznego pulsu przyznaje, że faktyczny rozwój stosunków ekonomicznych w najnowszych czasach nietylko że nie odpowiada idealno-rozumnemu porządkowi, ale zostaje nawet w imponującéj sprzeczności z praktycznym systemem takiego Adama Smitha i jego teorją o wartości i kapitale.

W ten sposób z abstrakcyjnych spekulacji przeszedłszy na grunt rzeczywistości idzie nasz autor jeszcze daléj. Wykazuje on kolejno, że przeobrażenie techniki, przejście do wielkiego przemysłu, zawisłość produktywnych przedsiębiorstw od spekulacji i handlu, wzrastająca liczba żadnéj nie oddających się pracy rentierów, daléj, że nasze systema administracyjne, prawa wyborcze i ustawy zasadnicze etc., zrobiły pewne klasy ludności panami sytuacji a drugie postawiły pod jarzmem niewoli.

Żeby tak wykolejowane stosunki zwrócić na drogę prawą i zapewnić ogółowi społeczeństwa warunki normalnego, harmonijnego życia nie ucieka się Bitzer do drażniących prowokacji lub zapewnień, że wulkaniczny ruch jest tylko przechodnią gorączką i mrzonką kilku komunistów, lecz stawia pozytywny projekt reformy, który daje się sprowadzić do następujących punktów: 1) Uorganizowanie spółek i stowarzyszeń ułatwiających dostanie kapitału dla drobnych przemysłowców i zabezpieczających robotnika od możliwych wypadków; 2) zaprowadzenie obowiązujących strony ustaw w fabrykach; 3) określenie urzędowe ilości godzin pracy dla kobiét, dzieci i robotników pracujących w fabrykach poruszanych parą lub wodą; 4) zaprowadzenie fabrycznego inspektoratu; 5) zapewnienie udziału w zyskach podług wolnéj umowy; 6) zakaz zmów (Strikes) bez poprzedniego podania zażaleń.

Nie będziemy się już wdawać w roztrząsania powyższego projektu, kończąc jednak ten przegląd dodać winniśmy, że zapatrywania się Bitzera na kwestję socjalną, cokolwiekbądź niektórym ich szczegołom zarzucić można, robią jeden krok naprzód i że godzą się na nie w zasadzie wszyscy ludzie nieuprzedzeni i jasno na tok zawiłéj sprawy patrzący.

Innego jednak zdania są tak zwani Manchesterjanie. Pomawiając Bitzera i jemu podobnych o socjalizm, dowodzą oni, pod wpływem zaślepienia lub złéj wiary, że wielki konflikt między pracą a kapitałem nie polega na przyczynach ekonomicznéj natury, lecz na złudzeniu i fałszywych pojęciach przewrotnych ludzi.

U nas kwestja socjalna nie ma najmniejszéj racji bytu, ani praktycznego znaczenia; baczne jednak śledzenie ruchu na zachodzie i wyrabianie sobie zdrowych pojęć w téj mierze, ustrzedz nas może od téj klęski w przyszłości.

TEATR.

Nie jesteśmy zwolennikami niemieckich komedji w ogólności a tem mniéj jeszcze lokalnych fars przerabianych lub raczéj koszlawo tłomaczonych dla polskiéj sceny. Pierwsze, osnute na tle bezkrwistego pedantyzmu, który pod postacią tak zwanéj Gemüthlichkeit stanowi charakterystyczną cechę niemieckiego towarzyskiego życia, nie mają nic wspólnego z naszemi wyobrażeniami o międzyosobowych i rodzinnych stosunkach. Drugie zaś wyrwane żywcem z berlińskiego lub wiedeńskiego bruku i pisane przedewszystkiem dla tamtéjszéj szerszéj publiczności, tylko niekorzystny wpływ na naszą pracującą klasę wywierać mogą. —

Czyż po to staraliśmy się o stały teatr polski w Poznaniu, żeby publiczność naszą denerwować frankomanją lub wpływać na nią utuczonemi na piwie niemieckiemi dowcipami?......

Średnia nasza klasa, stykająca się mimowolnie i tak już zbyt wiele z niemczyzną, umocnić się powinna polską myślą, ogrzać polskim duchem. Teatr dla téj klasy jest pod względem duchowym tém, czém są magazyny dla armji idącéj na wroga — umiejmyż go tedy używać! —

Wiemy dobrze, że na dnie świąteczne, że na taki n. p. ostatni wtorek bierze się z zapasowego repertoaru takie sztuki, których się codziennie dawać nie zwykło, ale równie dobrze wiemy i to, że mamy odpowiednie polskie oryginalne i czysto narodowe utwory, nie ustępujące pod względem siły ściągającéj masy, wiedeńskim i berlińskim fabrykatom. Świadkiem teatr krakowski a po części lwowski, gdzie na przedstawienia patrjotycznych utworów takiego n. p. Leopolda hr. Starzeńskiego niedzielna publiczność szturmem zdobywa miejsca.

Wyliczylibyśmy chętnie mnóstwo innych dawniejszych i nowszych polskich dzieł scenicznych tego rodzaju, przypuszczamy jednak, że dyrekcja znać je musi. Jeżeli by zaś zarzucono nam, że to same poważne rzeczy, to odpowiemy, że Fredro syn i Bałucki, nie szukając daléj, napisali dość wesołych fraszek i komedji i to tak serdecznie wesołych, że płaskie, zużyte i przestarzałe koncepta Rajmunda, Nestroja i tutti quanti porównania nawet wytrzymać nie zdołają.

Wyrazy „po raz pierwszy“ położone u góry afisza dowodzą, że sztuka nowo przygotowaną była — jeżeli tak. to dla czegoż nie przygotowują polskiéj rzeczy? Nędzne, wyrobnicze tłomaczenie nie obrażałoby ucha a licha treść polskiéj duszy.

Uwagi powyższe piszemy pod wpływem wrażeń ja-

kich doznaliśmy podczas przedstawień „Chłopa miljonowego“ i „Chcę sobie pohulać“, danych w ostatnie dni karnawału. Oba te okazy teutońskiéj pseudo-muzy stają niżéj krytyki i szkoda udatnéj i pełnéj istotnie komicznéj werwy gry naszych artystów (pp. Dobrzańskiego i Kwiecińskiego przedewszystkiém), która w godniejszy ich talentu sposób użytą by być mogła. — Jeżeli już posiłkowanie się tłomaczeniami obcych utworów jest niezbędne, to wybierać należy takie przynajmniéj dzieła uznanych powszechnie mistrzów jak 4 aktowy dramat Wiktora Hugo „Marja Tudor“ i tragedję Szyllera „Zbójcy“ któremi wypełniono ostatnie dwa z kolei teatralne wieczory.

Nie powiemy bynajmniéj aby pierwsza z wymienionionych sztuk była perłą literatury dramatycznéj, lub arcydziełem W. Hugo — jest ona jednak owocem poważnéj myśli godnym sceny i uwagi widzów. Wady jéj są te same, które stanowią charakterystyczną cechę wszystkich innych dramatów tegoż autora, a polegają one głównie i przedewszystkiém na ubieganiu się za rażącemi efektami obrachowanemi raczéj na nerwy niż uczucie.

Wiktor Hugo nie jest pod tym względem wybredny i nie waha się ani chwili wzywać na pomoc figurantów i maszynistę. W skutek tego jednolity organizm artystycznéj akcji napręża się niespodzianie i gwałtownie tak dalece, że od rozerwania chronić go może tylko jaki ad hoc wydelegowany deus ex machina. Drugim ważnym błędem, dotyczącym głównie dramatu, o którym mowa, są częste interrupcje w rozwoju charakterów i odchodzenie od rzeczy dla pięknéj deklamacji. Ztąd pochodzi, że pierwotnie gruntownie i psychologicznie pomyślany charakter przechodzi tylko odpowiednie sytuacji skale uczuć, bez zaznaczenia perjodów zmian w stanie ogólno-duchowego nastroju. Nadto tak sama Marja Tudor, jak inne obok niéj działające postacie, nie odznaczają się ani tak wybitną naturą, ani tak nad zwykły poziom wychodzącemi pragnieniami i dążnościami jak osoby z Ruy-Blasa lub Burgrafów. W całym dramacie niema, z wyjątkiem Gilberta, ani jednego dodatniego charakteru. Tak Marja Tudor jak Joanna Talbot urobione są z tego samego lichego materjału tylko w odmiennéj formie. Pierwsza z nich to najpospolitsza w świecie kobieta wydziedziczona nietylko z moralnego piękna ale nawet z siły — zmysłowość pożarła w niéj wszystko, nawet mściwość. Nie przeczymy, że to typ pełen prawdy, odfotografowany z natury — ale ujemnéj. Tak jak zmysłowość jest podstawą charakteru Marji, tak Joannę kieruje przeważnie wrażliwość. Fabiani zrobił wrażenie zewnętrzną postawą i Joanna upadła, Gilbert zrobił wrażenie niezwykłym, nadludzkim niemal poświęceniem się i Joanna pada w jego ramiona.

Pierwotny postępek Joanny ze względu na dane okoliczności był niemal zbrodnią, powrót zaś ze zbrodni do ideału nie bywa tak raptowny jak go Hugo przedstawił. Brak miary i uzasadnienia uwydatnia się co krok, nietylko w przeprowadzaniu szczegółów, ale w samym nawet zawiązaniu dramatycznego kłębka. Punktem wyjścia zawikłań i akcji jest postać nieznajomego. — Któż to taki? Spadł z deszczem, nawarzył piwa i legł pod sztyletem. Bez niego nie byłoby dramatu a on przecież jest tylko prostym deus ex machina. Nie będziemy już przytaczać mnóstwa innych usterek ani spierać się o nadużywanie jaskrawych efektów. Być może, że to jest silne, ale czy wpływa trwale i głęboko?

Główne role znajdowały się w rękach najlepszych naszych artystów i wykonane były ku zadowoleniu widzów i krytyka. Niemając zatém ważnych powodów do spierania się o niewłaściwe pojęcie lub niekonsekwentne wykonanie, kończymy podnosząc świetnie wykończoną, harmonijną grę pp. Wolańskiego (Fabiani) i Kwiecińskiego (Nieznajomy) który krótką ale nader trudną swoją rolę obmyślił gruntownie i oddał prawidłowo. Całość gry pp. Wolańskiéj (Joanna) i Szymańskiéj (Marja) nosiła cechy dobrego zrozumienia i poprawnéj dykcji, zwracamy jednak uwagę pierwszéj na konieczność wyrazistszego zaznaczania gry niemej, drugiéj zaś na głębsze przyswajanie sobie temperamentu oddawanéj postaci i wyrażania go w grze muskułów twarzy, oka, ruchów etc.

Pierwszéj scenie z Fabianim i całemu ustępowi oskarżenia nie mamy nic do zarzucenia; perjod jednak drugi, kiedy Marja ochłonąwszy z pierwszego wrażenia postanawia uwolnić kochanka, wymaga większego skupienia się na zewnątrz. Tam wre zazdrość a pragnienie zemsty miota nią gwałtownie, tutaj po przyjściu do świadomości sytuacji budzi się refleksja a następnie stałe postanowienie wymagające stanowczości, lecz zarazem spokoju. Tam stopniowała p. Szymańska wcale inteligentnie i miarowo, tu zaś niezupełnie zastosowała się do natury swego położenia. Następuje okres niepewności o los kochanka a więc wraca niepokój i właściwe mu cechy zewnętrzne. Okres ten (akt 4ty, scena przedostatnia w grze tak pani S. jak pani W. był najsłabszy.

Pan Cezar (Gilbert) przy widocznéj staranności robi postępy — niektóre błędy jego potrzebują stosownych uwag robionych na przykładach z gry. Niemając dziś miejsca odkładamy je do następnéj recenzji.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Dzieło **Iłowajskiego** o Sejmie Grodzieńskim z 1793 roku o którym robiliśmy wzmiankę w Pokłosiu Nr. 2 Tygodnika, wyjdzie w tłomaczeniu M. Iwanowskiego nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu; tegoż nakładem ukończył się druk rozprawy **Jana Karłowicza** „Wyprawa kijowska Bolesława Śmiałego.

* * *

Dowiadujemy się, że **Dr. Artur Wołyński** we Florencji mieszkający, współredaktor tamecznego Przeglądu Europejskiego, wykończa obecnie większych rozmiarów dzieło o Galileuszu. Dzieło to ma być z wielką sumiennością opracowane tak dalece, że każde twierdzenie i fakt poparty jest cytatą dokumentu współczesnego, mianowicie na własnoręcznych listach Galileusza, listach przez różnych do tego astronoma pisanych i na raportach ambasadorów toskańskich Guicciardini'ego i Niccolini'ego. Lecz co jest najciekawszém w téj pracy, to krytyka 100 biografów Galileuszowych i dokumenta procesu Św. Inkwizycji w całości przez autora z archiwum téjże instytucji przepisane. O ile wiemy, praca Dr. Wołyńskiego ma być ogłoszoną pod tytułem (o ile takowego późniéj autor nie zmieni) następującym: „Życiorys Galileusza według współczesnych dokumentów spisany i wraz z przeglądem pism tego męża, krytyką 100 jego biografów i dokumentami procesu Ś. Inkwizycji, ogłoszony przez etc.“

Jak się dowiadujemy, staraniem p. Józefa Chociszewskiego wyjdzie w roku bieżącym popularnie napisana książka **O Koperniku**, pióra p. **Klemensa Kanteckiego**.

* * *

Uzupełniając zapisek z naszego Pokłosia w Nr. 4, że księgarnia lwowska Gubrynowicza i Schmidta sprzedaje obecnie po znacznie zniżonych cenach nakłady księgarni **B. M. Wolffa** w Petersburgu, zwracamy szczególną uwagę na dzieła następujące: Monumenta Regum Poloniae Cracoviensis. — Dziejopisarze krajowi. — Niemcewicz, Podróże historyczne. — Hołowiński, Pielgrzymka do ziemi św. — Libelt, Estetyka. — Plejada polska. — Bartoszewicz, Znakomici mężowie polscy. —Pisma Adama Mickiewicza. — Koronowicz, Dzieje Polski. — Bużeński, Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich. — Skarga, Żywoty św. — Mickiewicz, Konrad Wallenrod z rysunkami Tysiewicza.

* * *

Bibljografja bieżąca:

— **Bełza Władysław.** „Złote literki.“

— **Bielski Józef.** „Homeopatja popularna“ według Dr. C. Heringa z Filadelfji, przełożona z francuzkiego przekładu dokonanego przez Dr. Leona Fils.

— **Desinfekcja**, dziełko zawierające przepisy odwietrzania pokoi, sal szpitalnych, stajni i t. p.

— **Florkiewicz J. O.** „Traktat o małżeństwie domniemaném.“

— **Juszczyk Józef.** „O żebractwie trapiącém nietylko Warszawę, ale i kraj cały, mianowicie małe i większe miasteczka.“ Autor wykazując, że w znaczнéj części żebractwo nie jest u nas wypływem nędzy, ale stanowi rodzaj zatrudnienia zyskownego, radzi, ażeby dla prawdziwéj nędzy otworzyć zakłady dostarczające pracy. (Prz. tyg.)

— **Muhlbach Ludwika.** „Baron Kobielski“, powiastka historyczna, zamieszczana przeszłego roku w Strzesze.

— **Niewolnik**, poemat ofiarowany rodakom jako upominek na wigilję stuletniéj rocznicy pierwszego podziału Polski.

— **Olpiński Filip.** „Praktyczna gramatyka języka polskiego.“

— **Piętak Leonard.** „Kto ma być poczytanym za kupca według powszechnego kodeksu handlowego niemieckiego, z uwzględnieniem kodeksu handlowego francuzkiego.“

— **Rocznik na rok 1872**, wydany w Piotrkowie, mieści pomiędzy innemi powieść p. **Plenkiewicza** p. n. „Perła zatracona.“

— **Rogojski J. B.** „Listy o kulturze“; — List drugi, w którym autor przedstawia prawidła kultury. Dawniéj wydany już List pierwszy obejmował pogląd na teraźniejszość i przyszłość rolnictwa; — trzeci List zawierać będzie zapowiedziany przez autora Pogląd na kulturę w XIX wieku. (Kraj.)

— **Sprawozdanie z wystawy rolniczo gospodarczéj**, odbytéj w Warszawie r. 1870.

— **Wapno, margiel i gips** jako dźwignia rolnictwa.

— **Wicherski.** „Miscellanea.“

— **Zacharjasiewicz.** „Noc królewska“, powieść z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, w osobnéj odbitce ze Strzechy.

* * *

Czasopisma:

— „Kraj“ rozpoczął druk sprawozdania pułkownika **Tytusa O'Byrna** „O legjonie polskim we Francji w czasie ostatniéj wojny pruskiéj w 1870 i 1871 latach.“

— **Dr. Fortunat Nowicki** zamieszcza w wychodzącym w Krakowie Przeglądzie lekarskim „Wiadomość o zakładzie wód lekarskich w **Szepetówce** na Wołyniu.

— Pod napisem „Jedwabnictwo jako źródło dochodu krajowego“ zamieścił p. **Adolf Bogucki** rozprawę, w któréj dowodzi, że u nas klimat sprzyja hodowli morw i jedwabników i że dla tego posiadać możemy bez wielkiego trudu, nawet małym kosztem jedwab własny, wyrównywający w dobroci zagranicznemu.

— Wyczytujemy z Kurjera poznańskiego, że w dniu 5 lutego ukazał się numer pierwszy **Gazety Literackiéj** lwowskiéj, jako dalszy ciąg przerwanego z dniem 11go sierpnia r. z. wydawnictwa.

— Wyszedł pierwszy numer zapowiedzianego pisma tygodniowego młodzieży uniwersyteckiéj w Leodium p. t. „**Między nami**“ i zawiera następujące prace: Uwidomienie początkowéj nauki podług systemu Grassmanna; Józef Zuchalski, wspomnienie pośmiertne, — i potoczne wiadomości.

* * *

Odczyty i wykłady:

We Lwowie dnia 11 lutego **Stanisław hr. Tarnowski** „O wpływie Tow. Przyjaciół Nauk.“ Prelegent opowiadając pokrótce dzieje założenia i rozwoju téj instytucji, która przez lat trzydzieści tak znakomity, chociaż nie dosyć oceniony wpływ wywierała na umysłowość kraju. Jako zaletę kierunku obranego przez to ciało naukowe słusznie podniósł prelegent, że Towarzystwo nie uchylało się od rozwiązania pytań praktycznych, ściśle ze życiem spojonych, jako wadę zaś jego, pewną ociężałość i zastój wewnętrzny, który sprawił, że Tow. nie dokonało tak szczytnie przez się powziętéj myśli napisania zbiorowéj historji narodu polskiego. Szanowny prelegent z właściwym sobie wykwintnym sarkazmem skreślił kilkoma rysami obudzenie się romantyzmu w Polsce i wrażenie, jakie on sprawił na warszawskich „nieśmiertelnych“, w końcu zaś rzucił kilka poglądów ogólnych na cały charakter i znaczenie cywilizacyjne téj instytucji, dziś tak chętnie zapoznawane. (Świt.) — Dnia 4lutego rozpoczął Dr. **Antoni Małecki** szereg odczytów publicznych na dochód ubogich. Mówił o runach słowiańskich i dowiódł, że wszystkie tychże okazy na t. z. bałwankach Prillwickich i kamieniach Mikorzyńskich były fałszerstwem Niemca z XVIII wieku, Spornholza. Może mieli Słowianie pismo runiczne, ale do nas nie doszedł żaden ślad jego. Z właściwą sobie bystrością krytyczną, w wykładzie ożywionym i pełnym erudycji wykazał prof. Małecki bezpodstawność dotychczasowych przypuszczeń, niwecząc tém wszystko, co o runach napisali tak gorąco Lelewel w swéj „Czci bałwochwalczéj dawnych Słowian“, Kollar, Kucharski i tylu innych...

— W Poznaniu dnia 11 b. m. miał p. **Klemens Kantecki** odczyt p. t. „Epizod ze złotego wieku piśmiennictwa polskiego.“ Prelegent na samym wstępie uprzedził słuchaczy, że odczyt niniejszy jest niejako dalszym ciągiem kilkunastu wykładów o literaturze polskiéj, miewanych przez niego w dawniejszém Tow. Młodych Przemysłowców. Chcąc dać o ile możności dokładny obraz ojczystego piśmiennictwa w okresie Zygmuntowskim, czyli złotym, zamierza p. K. w przyszłości dawać od czasu do czasu biograficzne i bibljograficzne szkice pierwszorzędnych téj epoki pisarzy, na których czele stawia słusznie Nestora poetów naszych, Mikołaja Reja z Nagłowic, będącego uosobieniem swego czasu tak w teorji, jak w praktyce. Założenia tego dowodzi szanowny prelegent tak na życiu jak i na pismach Mikołaja, wykazując, że był człowiekiem poczciwym, obywatelem prawym i ojczyznę miłującym, lecz przytem hulaką i lekkoduchem, jak cała ówczesna szlachta. Podobnie też jak wszyscy ówcześni pisarze rozpoczął Rej zawód literacki od utworu religijnego, a mianowicie od przekładu psalmów. Dowcipny, przenikliwy, obdarzony zmysłem spostrzegawczym i wielu, choć tylko dorywczo pochwytanemi wiadomościami, widząc złe szerzące się w narodzie pod wpływem włoskiéj intrygantki Bony, z zadziwiającą śmiałością i obfitością pomysłów karci wszelkie zdrożno-

ści, zbytki i nadużycia, czy to w żartobliwych i lekkich Figlikach — czy w Zwierciedle, w kształcie, w którym, wedle dowcipnego określenia samego autora, każdy stan snadnie się może swym sprawom jako w zwierciedle przypatrzyć, czy w Zwierzyńcu stanów szlacheckich, czy wreszcie w Przedmowie do chrześcijańskiego człowieka stanu szlacheckiego, stanowiącej krytykę nierządu politycznego w Polsce. Ale Rej nietylko że ironją jak toporem podcina spróchniałe drzewo głupstw i przesądów, ale na miejsce poburzonych stawia nowe gmachy, bo stara się utrzymać człowieka na wyżynie wzniosłych ideałów, czego dowodem „Zbroja pewna rycerza chrześcijańskiego" i „Żywot człowieka poczciwego", będący jakoby kodeksem obyczajowym życia ludzkiego.

Szanowny prelegent przebiegając utwory Mikołaja z Nagłowic nie wedle bibljograficznego porządku, jeno tak jak w organicznéj całości ze siebie wypływają, zatrzymuje się dłużéj nad dramatem „Józefem, synem Jakubowym", i choć wykazuje ujemne jego strony, stawia go wysoko jako pierwszą dość szczęśliwą próbę w tym rodzaju.

Zastanawiając się w końcu nad językiem, zalicza prelegent Reja ze względu na to, że pierwszy nieomal pisał po polsku wierszem i prozą, — do najlepszych stylistów — albowiem język jego pomimo chropowatych i rubasznych gdzieniegdzie wyrażeń, odznacza się malowniczemi, dosadnemi, pełnemi siły i jędrności zwrotami, branemi po większéj części z najczystszego źródła, bo ze skarbca niezamąconéj cudzoziemskiemi wpływy literatury ludowéj, a odznaczające się szczególnie szczęśliwie wynalezionemi epitetami, które dotąd nie straciły na mocy i wdzięku. Dla tego arcy-pożyteczneby było gdyby dzisiejsze pokolenie więcéj czytywało tak Reja jak innych pisarzy Zygmuntowskiego okresu, gdyż zaniedbywanie ich doprowadza, jak tego zbyt smutne i częste w Wielkopolsce mamy dowody, do niesłychanego zanieczyszczenia języka tak w potocznéj, jak piśmiennéj mowie.

* * *

— Hrabiowie **Maksymiljan Mielżyński** i **Stefan Dąmbski** złożyli w imieniu Młodzieży Wielkopolskiéj, w redakcji Dziennika Poznańskiego, składkę tysiąca talarów przeznaczoną na cel **oświaty ludowej**, zastrzegając sobie, aby kwota ta zużytą została na nagrody za napisanie najlepszych książek ludowych.

* * *

Porównywując ruch naszego **księgarstwa** z zagranicą, przekonywujemy się, że znacznie zostaliśmy w tyle za ogólnym w tym względzie postępem. Dobrze zorganizowane księgarstwo, w ręku zacnych Polaków stać się może nieobliczoną w swych dobrych skutkach dźwignią **oświaty**, któréj nam tyle potrzeba. Z tego téż powodu z przyjemnością zapisujemy tu dwie nowo powstałe księgarnie, z których jednę założył w Krakowie p. **Aleksander Nowolecki**, wydawca „Czytelni ludowéj", a drugą we Lwowie pod firmą Księgarnia polska pan **Bartoszewicz**, redaktor i wydawca „Mrówki." — W Bydgoszczy otworzył pan **T. Śniegocki** swoją przez pewien czas zamkniętą księgarnię. — Pan **Gubrynowicz**, księgarz lwowski, przeprowadza w Wiedniu zniesienie prawa austrjackiego, ograniczającego przywóz książek i pism polskich z Kongresówki do Galicji. — Gdzie mogą, hamują Niemcy rozwój oświaty narodowéj, aby po upływie pewnego czasu nadrwić się ze szczupłych zasobów naszéj ogólnéj oświaty a swoją nam za wzór postawiać. Przy większéj wytrwałości, przy większych zabiegach nie powinnyby sztuczne zabiegi cywilizatorów naszych przeszkadzać nam w postępie, opartym na obowiązującém nas prawie. Jeżeli z Niemcami nie stoimy na równi, znaczna w tym względzie na nas samych spada część winy.

* * *

W wychodzącym w Zurychu noworoczniku „Der Vetter Jacob" mieści się rycina przedstawiająca pomnik w **Rapperswyl** i opis tamtejszego **muzeum polskiego**.

* * *

W Dreźnie bito **medale na pamiątkę stuletniéj rocznicy pierwszego rozbioru Polski**. Na jednéj stronie ich jest napis: „Bóg z nami" a w środku na książce rozwartéj; „Módl się i pracuj"; po drugiéj stronie okolonéj wieńcem cierniowym i laurowym po środku wstęga, na któréj: r. 1872; nad wstęgą Opatrzność, nad nią napis: „Pamiątka"; pod wstęgą krzyż, na którym zawieszone serce.

* * *

Z pewnego dowiadujemy się źródła, że jedyny autentyczny, zdjęty z natury portret **Joachima Lelewela** wylosowanym będzie za granicą. Rzeźbiarz zaś krakowski pan **Henryk Stattler** wykonał popiersie naszego historyka.

* * *

Józef Szermentowski, artysta malarz z Warszawy, otrzymał medal za piękny krajobraz na wystawie londyńskiéj.

Przedpłaciciele

na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

231. Wna J. Prądzyńska z Wałdowa pod Sempolnem... 1 egz.
236. Zygfryd Priebatsch ze Śmigla ... 2 „

Skrzynka do listów.

Przypominamy się p. Włady... Lucz... z Miel...

P...? Pan Léger mieszka w Rueil pod Paryżem, avenue de Paris Nr. 92.

X. J... T...: Wysłaliśmy Nr. 52. Talar pruski wynosi $1\frac{1}{2}$ złr. w srebrze, a grosz srebrny pięć centów.

— ...e... Odebrawszy z wielu stron zapytanie o adres pani Markowiczowéj = Marko Wowczek, powtarzamy zamieszczoną w Skrzynce naszego 5 numeru odezwę p. Grzegorzewskiego. — Skoro nas dojdzie pierwszy numer „Nowin z wychodźtwa i kraju" podamy adres tegoż wydawnictwa. — Dziękujemy za łaskawą pamięć.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.